

„Traviata” Verdiego

Mój drogi Emanuelu! Wczoraj wieczorem: „Traviata” — fiasko! Moja to wina, czy śpiewaków? Czas to osądzić. Zawsze Twój — Verdi! — Takimi oto krótkimi słowy zrelacjonował niedgdyś Verdi swemu przyjacielowi Emanuelowi Muzio prapremierę nowej swojej opery „Traviata” w weneckim Teatru La Fenice w marcu 1853 roku. Gusty publiczności i losy oper są zmienne — i już wprędce po niefortunnej prapremierze stała się „Traviata” jedną z najpopularniejszych oper XIX stulecia. Czas osądził...

O ile jednak wówczas — w minionym stuleciu, przemawiała do publiczności — wraz z verdiofską muzyką — również i wyraziste akcenty libretta: oskarżenie moralności mieszczańskiej, aluzje do czasów i osób współczesności — to dziś pozostała w „Traviacie” właściwie tylko muzyka. Konflikty bowiem i tragedia trójkąta: kurtyzana Violetta — zakochany a słaby Alfred — surowy ojciec Alfreda bardzo już wyblakły, straciły na aktualności, nie mieszczą się w społecznym rezonansie i pojęciach dzisiejszego widza, zwłaszcza z młodego pokolenia. A linie dramaturgiczne tej opery są przecież dość luźno napięte, akcja wlecze się leniwie. Więc — pozostaje głównie muzyka. A właściwie — melodie. Nie na próżno przecież nazywano „Traviatę” najmelodyjniejszą operą Verdiego. Dzięki więc tym swym melodiom zachowuje wciąż owa dziewiętnastowieczna operowa „Love story” swą żywotność i świeżość. I po raz już trzeci powróciła w minionym ćwierćwieczu „Traviata” na krakowską scenę operową.

Na tę nową premierę naszego Teatru Muzycznego przede wszystkim z przyjemnością się... patrzy! Piękne kostiumy, dekoracje w zamyśle artystycznym czyste i jednolite, nie rozpraszaające uwagi widza, a dobrze sprzyjające

Przyznaję się szczerze, **M** od młodego reżysera, który ma wszelkie dane, aby patrzeć oryginalnym, świeżym i nie obciążonym rutyną twórczym spojrzeniem na spektakl operowy, oczekiwałem czegoś więcej. Tymczasem reżyseria poszła po linii dość sztampowego klerowania ruchem na scenie (kto ma wyjść, kto wejść, gdzie stanąć i co robić z rękoma...), upstrzonego tu i ówdzie kilkoma indywidualnymi pomysłami. Niektóre z nich są zgola niefortunne: Violetcie każe reżyser młdeć, a potem umierać na stojąco; Alfred musi śpiewać swą arię na cześć miłości, jako tzw. parterowy gimnastyk, utrzymywany rękami kolegów — gdzie lada chwila grozi awaria. No a pomysł z żywym pieskiem, który towarzyszy Alfredowi podczas drugiej arii — o szczęściu — krzywdzi muzykę tej arii — i solistę. Publiczność bowiem wiele swej uwagi skupia na czynnościach kręcącego się po scenie pieska (a może zacznie szczeleć, lub wyć, a może ugryzie śpiewaka w łydkę, a może zrobi coś jeszcze bardziej efektownego...). Natomiast podobał mi się pomysł z „niewidzialnym” aniołem śmierci, towarzyszącym Violetcie, a uosobionym przez tancerkę G. Karasiównę. A poza tym — nie wiem, do kogo mieć pretensję o to, iż opuszczone w przedstawieniu barwna i żywa scenkę z chórem Cygańek na balu Flory: jest to poważna przewina wobec muzyki Verdiego — i stratą dla słuchaczy.

Główny ciężar wykonawczy spoczywa w „Traviacie” na solistach, a przede wszystkim na odtwórczyni partii tytułowej, kreowanej na naszym spektaklu przez Jadwigę Romańską. Włożyła ona w swą rolę prawdziwie artystyczny, głęboki wyraz — i pokazała kunszt wokalny wysokiej klasy: piękną równość emisji, kulturę i wypracowanie frazy, nieskazitelną czystość intonacyjną. Doskonale popisał się

Partner Violetty — tenor R. Brożek, jako Alfred Germont, wniósł w tę postać autentyczną młodość, cenną tu na scenie oraz miłe brzmienie głosu, ale tylko w średnicy skali; nad poprawieniem rejestru górnego, i w ogóle całej emisji, winien młody śpiewak naprawdę usilnie popracować. No, a zupełne niemal niedopracowanie aktorskie postaci Alfreda, chwilami wręcz irytujące, obciążać chyba jednak musi sumienie reżyserskie.

Na dobrą noć zaśluzili ponadto wykonawcy dalszych ról, a zwłaszcza St. Zachariasz (Flora), S. Ziółkowski (baron Douphal), T. Podsiadło (lekarz) i D. Wermińska (służąca Annina). Sceny zbiorowe zręcznie ożywił balet, występujący tu w niewielkich fragmentach tanecznych.

Muzycznie — jak zwykle su-

miennie i rzetelnie — przygotował premierę Roman Mackiewicz. W dyrygenckim prowadzeniu, licząc się zapewne z możliwościami głosowymi niektórych solistów, dążył R. Mackiewicz do utrzymania orkiestry w granicach brzmienia mocno stonowanego, niemal delikatnego, kładąc nacisk bardziej na wydobywanie melodyjności, niżli dynamiki z muzyki „Traviaty”.

JERZY PARZYŃSKI

Teatr Muzyczny-Opera w Krakowie. „Traviata” — opera G. Verdiego. Kier. muz. B. Mackiewicz, reż. Helmut Kajzar, scenografia — B. Jankowska, choreografia — B. Kasprowicz, kier. chóru — Zb. Toffel. — Premiera prasowa — 3. XII 73.—



Jadwiga Romańska w partii tytułowej „Traviaty” Verdiego.
Fot. JADWIGA RUBIS